Ner 5. Kraków, dnia 1go Marca 1871. Rok III.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.— Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75.— Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“— płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca).

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

Stanisław Staszic

(Dokończenie).

Potém znowu przyszło Staszicowi do myśli, że chałupy chłopskie w Polsce były bardzo ladajakie, bo tylko z chróstu i z gliny, a razem w izbach trzymali ludzie i swoje bydełko. Więc to bardzo bolało Staszica i prosił, aby kto, ma ku temu głowę i serce, wypowiedział, z jakiego materyiału i jakie najlepsze będą chałupy dla włości‿n. Jakoż jeden wielki pan, Potocki, kazał natychmiast w całych dobrach stawiać swoim kosztem na model, jak najlepsze i najwygodniejsze chałupy dla włościan. Widzicie co to za poczciwa dusza był dla was ten Staszic! To też zewsząd w Polsce szły do tego wielkiego i zacnego człowieka pisma z podziękowaniem, za jego wedle dobra kraju i ludzkości staranność. Oto dosłowny dokument:

Rada obywatelska województwa sandomirskiego do JW. Staszica, radcy stanu!

Rada obywatelska województwa sandomirskiego oświadcza JW. Radcy Stanu Staszicowi imieniem całego województwa, słowa pełne uwielbienia za hojne zakłady i dobre uczynki, które czyni dla zaszczytu i honoru narodu polskiego.

Wspaniały dom, dla Towarzystwa nauk w Warszawie, kosztem JW. Radcy postawiony, znaczne wydatki na pomnik Kopernika, są dziełem JW. Radcy Stanu, zawsze o chwałę narodu troskliwego. Za te czyny zaszczytne i sławę narodowi niosiące, racz JW. Radca przyjąć wdzięczności wyrazy, które ci rada obywatelska województwa oświadcza.

Radom, dnia 23 Października 1822 r.

Potém szły podpisy.

Najgorliwiéj zajmował się dobrym porządkiem szkół tak wyższych, jak i ludowych, bacząc na to, aby z takowych szkół wychodzili ludzie użyteczni dla kraju.

I tak naprzykład, w szkółkach po wsiach były zaprowadzone nauki ogrodnictwa i sadownictwa, aby jak chłopek wyjdzie ze szkoły, umiał sobie robić koło drzew owocowych i z tego także do majętności przychodził. A dziewczęta znowu musiały się uczyć robót i gospodarstwa, aby potém na swojéj zagrodzie były gospodyniami jak się patrzy. Dosyć powiedzieć, że co jeno mógł ten Staszic uczciwy, ku dobru kraju i ludu prostego wymyśleć, to czynił. On także i wszystkie kopalnie w kraju do porządku i większych dochodów przyprowadził.

Miłość jego dla bliźnich i biédniejszych była nadzwyczajna, tak dalece, że nawet dla tego za życia mieli go za dziwaka, bo jakże, moi kochani, kiedy on taki pan i bogacz całą gębą, dla siebie był skąpcem okrutnym, a to wszystko dla tego, aby miał więcéj dla biédnych i aby po jego śmierci, kilkadziesiąt rodzin ubogich włościan, miało dobytek i swobodę.

I tak mieszkał sobie biédnie w dwóch lichych stancyjkach, a lat kilkanaście chodził w jedném wytartém ubraniu. Jak się ubiérał, tak i jeździł biédnie, że aże jego samego wstyd było i nie lubił jeździć przez miasto Warszawę, tylko tyłami objeżdżał. Jednego tylko miał służącego; ten był u niego furmanem i lokajem i gospodarzem, a żona jego gotowała Staszicowi jeść, które to jadło było także bardzo skromne. Rano ciepłe piwo z chlebem, a na obiad rosół i kawałek chleba; oto cały jego posiłek.

A kiedy mu to jego dla siebie skąpstwo przyjaciele wyrzucali, to on mówił, że każdy grosz, co wydaje dla siebie, to go kradnie ubogim.

A lubił poczciwiec okrutnie chodzić do teatru, gdzie to takie ładne sztuki przedstawiają i gdzie muzyka gra przepięknie. Ale cóż, gdyby był poszedł tam w to miejsce, jakie przystało honorowi i jego osobie, toby był musiał co dzień kilka i kilkanaście złotych wydać; to cóż on robił? Oto ubiérał się jak najbiédniéj i poszedł do teatru w najostatniejsze miejsce, co go i złotówki nie kosztowało i dopiéro skrył się za ludzi i tak nie poznany stał w kąciku. Wszystko to czynił z wielkiéj miłości dla biédnych ludzi, dla których umiérając zostawił aże sześć milijonów złotych polskich, to nie żart.

Ale osobliwym jego zamiarem, i najusilniejszą jego chęcią było, aby jako témi pieniądzmi można było jak najwięcéj wsi i gromad od pańszczyzny wykupić i aby ludzi, o ile można ze sobą porównać. Oto własne jego słowa, które w swych pismach zostawił:

— Przez lat 40 mych rozmyśliwań, zapytywałem się często sam siebie, jaki był zamiar najwyższego Stwórcy, do czego przeznaczył człowieka i co najpewniéj zabezpiecza szczęście ludzkię?

I same słowa Boże, wyryte palcem na kamieniu, dały mi na to odpowiedź, a ta jest:

Będziesz kochał Pana Boga twego z całéj duszy twojéj, a bliźniego twego, jako siebie samego.

Jakoż nie znajduje człowiek nic przyjemniejszego dla serca swego, jak w dobrych uczynkach i nikt nie dopełnia wierniéj woli Stwórcy swego, jak kiedy przez całe życie przyczynia się do szczęścia drugich.

Przekonany o téj prawdzie postanowiłem całe życie moje na to poświęcić, abym los kilkudziesięciu rodzin polepszył i życie ich swobodniejszém uczynił. Dla tego przez całe życie byłem ślepy w wydatkach dla siebie, aby oszczędzić dla biédnych.

Z téj oszczędności zakupiłem dobra Hrubieszów, gdzie rozdawszy na wieczne czasy grunta, uszczęśliwiłem kilkadziesiąt rodzin; a dziękuję stokrotnie Bogu, że ludzie doszli już do tego poznania, że to jest dobrem i że za moim przykładem i drudzy tak postąpią....

Otóż to takiemi świętemi uczuciami i taką miłością dla ludu prostego, było całe życie przejęte serce wielkiego człowieka, tego Staszica, a może to dusza jego świątobliwa wyprosiła tam w niebie u Boga wszechmocnego, że się jego życzenia spełniły, że już dziś gdzie tylko stopa jaka polskiéj ziemi, ba i w całym świecie, nie ma już pańszczyzny i nie będzie jéj jako życie, dla tego to widzicie, na początku naszego opowiadania słusznie nazwaliśmy Staszica największym przyjacielem i dobrodziejem ludu wiejskiego.

A wy kochani bracia wieśniacy uczcijcie często pamięć tego wielkiego i wielką miłość posiadającego człowieka. A tylko jeno w krótkości jeszcze opowiem wam o jego śmierci. Zapadł on nagle w Styczniu 1826 r. na chorobę zwaną apopleksyją. Dniem przedtem choć już był słaby, ale jeszcze zupełnie przytomny, żegnając się ze swymi przyjaciołmi, rzekł:

— Może się jeszcze z téj choroby wydźwignę, lecz gdybym umarł, zostawiam wszystko w porządku. I potem znowu mówił do jednego przyjaciela tak: Pisałeś za włościanami, pisz i pilnuj daléj, aby im swobody zapewnić. Tak w ostatniéj chwili życia swego o was tylko myślał ludzie prosty, wieśniacy! Na drugi dzień potém już nie żył. Sam powiedział, gdzie chce być pochowanym tj. na Bielanach obok kościółka tamtejszego. Pogrzéb jego był taki, jakiego nie pamiętała Warszawa. Całe duchowieństwo wyruszyło i wszelkich stanów ludzie. Wszyscy domów swoich odeszli, tak, że sklepy i urzędy pozamykano, lud ciągnął od Warszawy do samych Bielan. Wiedzieli ludzie dobrze, że odprowadzają człowieka do grobu, który z taką miłością do kraju i dla ludzi, nie prędko się zjawi na świecie, a który tyle dobrego zostawił po sobie. Przepiękne mowy mieli kapłani nad jego grobem, a gdy go już spuszczono do grobu, położyli kamień prosty, z takim napisem skromnym, jaki sobie sam ś. p. Staszic ułożył jeszcze za życia. Napis jest taki:

Tu leży Stanisław Staszic urodzony 1755 roku,
a zmarły d. 20 Stycznia 1826 roku.

Więc miał ś. p. Staszic 71 lat, gdy umarł.

Panie świéć nad duszą jego i daj nam więcéj takich wielkich ludzi, co mają taką miłość w sercu!

Ludka z Myślenic.

Nie żartobliwa piosnka
starego Bartłomieja.

Chociażbym miał złote sioło
I grosza jak mrowia,
Czyżbym jednak żył wesoło,
Gdybym nie miał zdrowia?

I czyżby ten światek Boży
Był tak sercu miły,
Kiedy słabość człeka złoży,
Gdyby nie miał siły?
Wolę sobie żyć w swobodzie
Na méj drogiéj roli;
W pracy — nic mi nie dobodzie,
Nic mię nie zaboli....
Żyję jak mi Bóg przykazał,
Cenię moje zdrowie,
Na cóż jabym je narażał —
Niechże mi kto powie?
Mam ja żonę, mam i dzieci,
Dla nich żyć potrzeba,
Prosić — niech wiek w zdrowiu leci —
Wysokiego nieba.
Mam ja przecież rozum w głowie,
Nie chcę więc żartować,
Nie głupim swe niszczyć zdrowie,
By potém chorować....
Niech się chłystki zbytkiem łudzą;
Ja dobrze pojmuję,
Że po zdrowiu żal obudzą,
Kiedy się zepsuje.
Pijcie sobie przyjaciele
Do zachodu słońca,
Ja na duszy zdrów i ciele —
Powiem: Patrzcie końca!

Józef z Bochni.

Głuchoniemy.

przez Ludkę z Myślenic.

(Ciąg dalszy).

I w téj chwili, zręcznie, gdyby sarneczka, przecisnęła się smagła jak sosienka, rumiana jak różyczka w ogrodzie, dzieweczka, skłoniła się pięknie państwu i jakby trochę zawstydzona, że tyle państwa na nią patrzy, stanęła pokornie przed gankiem. Pani wybrała co najszérszą, co najpiękniejszą wstążkę czerwoną, wianuszek złocisty, niby krakowski, i podała ładnéj Basi, a pan dziedzic dał jéj aż sześć srébrnych cwancygierów. Wszyscy państwo, co tam byli na ganku, co w gościnę przyjechali, spojrzeli na ładną Basię, i każdy szepnął: A to piękna, to urodna dziewczyna! — A Basia zarumieniła się aż po same uszy, już ci pewno od radości, że tyle podarunków dostała, albo może dosłyszała, że ją państwo chwaliło, i uchwyciła za kolana pana i panią, podziękowała pięknie, i zeskoczyła z ganku, tak jakoś zgrabnie, że aż czegoś chciało się oczom jeszcze patrzéć za nią.



Przez cały czas, jak mówiłam, nasz Michałek niemowa stał sobie przy ganku, i przypatrywał się, jak wieńcowe brały podarki, i czegoś posmutniał. Może mu żal było, że z niemi nie potańczy, nie wiem; lecz gdy Basia szybko wskoczyła na ganek, to nasz Michałek poczerwieniał, mówię wam jeszcze bardziéj, jak wtedy, kiedy się najgoręciéj modlił w kościele i począł coś wargami ruszać. Pewnie dziękował panu Jezusowi za piękne stworzenie, bo oczy wlepił w Basię. I juźciż jemu, co tak lubił wszystkie piękne stworzenia na świecie, jakżeż śliczną musiała się mu wydać Basia, kiedy takiéj pięknéj osoby nie widział jeszcze nigdy. To też nie patrzył już na ludzi, ani na podarki, które państwo dawali, on tylko szukał oczami Basi.

Pan dziedzic wyprawił na zakończenie dożynku wesołemu towarzystwu w czeladnéj izbie tańcującą zabawę, na któréj długo hulano w wielkiéj wesołości.

Ale Michałek nie był na téj zabawie; wrócił do swojego domu jakiś zamyślony, szczęście jego już się skończyło, czy zaczęło, któż wié, zobaczymy daléj. Ale on czegoś bardzo posmutniał, jeno wzdycha; już mu i robota czegoś nie idzie, już i drewienka poprzestał wyrzynać; chodził jeszcze między gaje i łąki, ale mu się już nie wydają takie piękne, bo mu się zdało, że to stworzenie Boskie, co widział, ta Basia, to piękniejsza nad wszystko. Nie zapomina o niéj, chyba w kościele, kiedy patrzy na obraz Maryi. I zeszło kilka niedziel od dożynku we dworze, ale Michałkowi ani

daj Boże zapomnieć o Basi. We dnie stoi mu w oczach i myśli jakby na uwziątek, a w nocy to się mu o niéj przyśniéwa, a zawsze ją widzi niby w kościele, modlącą się przed obrazem Najświętszéj Panny. I patrzcież, on, co dotąd przenigdy o ożeniaczce nie pomyślał, nabrał czegoś ochoty, aby jak inni parobcy pojąć sobie żonę. A że to po większéj części ludzie nieco od natury upośledzeni, choć są dobrzy, tę mają wadę, iż swojego błędu nie widzą, tak téż i nasz poczciwy Michałek zapomniał, że on niemowa i że się nie każdéj spodoba dziewczynie. On siebie widział tylko w duszy, a że tą duszą był dobry, i kochał wszystkich a najmocniéj ładną Basię, to sobie myślał, dla czegóż by go i Basia kochać nie miała i nie chciała pójść za niego, kiedy ładna, toż i dobrą być musi?

Owóż i wygadał tę swoją myśl ojcu na migi, i prosił, aby z nim poszedł na zaloty do Basi.

Stary pokiwał sobie na to głową, ale że ojcowie życzą dzieciom jak najlepiéj i także w nich wad nie widzą; toć i staremu nie zdało się niepodobną rzeczą, żeby Basia, która nie była wielką bogaczką, nie chciała Michałka, co przystojny chłopak i bogaty jedynak, a że niemowa, to za to serce ma dobre, i miękkie jak wosk.

I powiedział o téj rzeczy swojéj żonie; zdało się to obojgu, więc téż posłali w swaty do Basi.

Ale gdzie tam, Panie odpuść, Basia się tylko wyśmiała i słowa sobie rzéc nie dała, bo przez to, że była urodną, to była trochę wybredną. Jéj się zdawało, że dla niéj trzeba niewiedzieć jakiego męża, może i szlachcica.

Szkoda, że Baśka wiedziała o swojéj urodzie, bo to dla dziewicy szkoda wielka. Lepiéj, gdy zważa na dobre serce i dobre obyczaje, niż na swoją urodę, która niepewna i prędko przeminie. Basia jednak nie była złą dziewczyną.

Tymczasem biédny Michałek, gdy mu taką odpowiedź przynieśli, to ledwo się gdzie nie podział od wielkiego żalu; zaniemógł na zdrowiu i chorował ciężko.

Podniół się wreszcie z choroby, ale blady, i mizerny. A że to mówią, *diabeł czyha na dobrą duszę*, to téż towarzysz Michałka, parobczak z drugiéj chałupy, co był lekkomyślny i pijanica, zlitował się niby nad Michałkiem, i zaczął mu perswadować, żeby się tak nie trapił, i jął go ze sobą do karczmy prowadzić, a na migi mu pokazywał, że jak się napije dobréj wódki, to mu siły i dobrego humoru przybędzie.

Michałek skosztował raz i drugi, głowa jego osłabiona chorobą, prędko mu się zawróciła, i z razu szumiało mu w niéj, a potém zapomniał o sobie i nie wiedział, co się z nim dzieje.

(Dokończenie nastąpi).

Procesa i pisarze pokątni.*

W jesieni roku zeszłego powołały mię sprawy familijne nad Wisłę, o mil kilka od Tarnowa. Podróż tę odbywałem z pewnym wieśniakiem, który złożywszy zboże w Tarnowie, powracał próżno do domu. Z początku jechaliśmy jako tako, bo téż i droga była dobra i szkapy nienajgorsze. Cieszyłem się więc w duchu, że na noc przybędę do upragnionego miejsca. Atoli człowiek strzéla, a pan Bóg kule nosi, jak mówi przysłowie. Ni ztąd, ni zowąd zerwał się wicher i dészcz lunął jak z cebra. Dalsza podróż okazała się niemożebną i trzeba było w najbliższéj karczmie szukać schronienia przed dészczem. Szczęście, że już byliśmy od niéj niedaleko. Wjechawszy do sieni porządnie zmoknięci, woźnica mój zajął się swemi końmi, a ja wszedłem do izby szynkownéj, ludźmi napełnionéj, by się cokolwiek ogrzać i osuszyć, a usiadłszy w kącie, przysłuchiwałem się gwarowi bankietników.

— Ja tu powiadam — rzekł jeden z nich — że nic nie dam. Zwoływaliście tu gromadę, wybiéraliście tu sami deputaków, to sobie płaćcie, ja nic nie chce wiedzieć o tych bałamutach!

— O wa! będą cię prosić! — odrzekł drugi. — Wyście taki gospodarz jak i drugi, to dacie i kwita!

— Będziecie widzieli, czy wam dam, mądre deputaki, co tylko z gromady ciągniecie...

— Co, ty nie dasz, gałganie? — zawołał przybiegając z pięścią trzeci porządnie pijany.

— Idź precz, ty cyganie!

— Cicho, bo jak cię chlasnę!

— Cicho jeno, cicho! — odezwał się rudowłosy arendarz — Nie kłóćcie się; czy to dla was karczma, czy co?

— A jużci, że dla nas, ty poganie diabli!

— Ny, widzicie go tu pana? — wskazując na mnie, zawołał żyd — a macie się kłócić, to się lepiéj bijcie!

Na taką przymówkę, którą zapewne wywołała nie miłość zgody, ale chęć zysku, bo za kłótnię nie byłoby sądu, a po każdéj bitce następuje sąd gromadzki, obléwany kilku garncami gorzałki — ostygł zapał kłótników. A że im żyd wspomniał o mnie, ten, co to najpiérwszy odgrażał, że nic nie da na jakąś tam składkę, przystąpił do mnie i opowiedział następujący wypadek:

— Bo to proszę jegomości tak było. Za dawnego dziedzica gromada pasła na ugorach dworskich. Skoro nastał nowy dziedzic, nie dał paść na ugorach i tak było cicho. A że łońskiego roku z naszéj wsi wrócili z Wiśnicza z kryminału tutejsi gospodarze, co tam siedzieli za kradzież koni, przyprowadzili z sobą jakiegoś złodzieja, co z nimi siedział i obrali go za pismaka, ażeby spisywał wszystkie interesa gromadzkie. Otóż ta psiawiara pisał tu i pisał one bałamuty, a ciągnął i ciągnął z gromady, aże strach.

Będzie temu ze trzy niedziele; powiada on, że trzeba, iżby gromada posłała z nim deputaków do Krakowa. My zwyczajnie jak nierozsądni ludzie, wierzyliśmy oszustowi i wybraliśmy deputaków. A że do takiego interesu trzeba ludzi bywałych, tośmy obrali tych samych, co to w Wiśniczu siedzieli za kradzież, boć oni już nie z jednego pieca chléb jedli, a od złodziei nauczyli się trochę kręcić i szwargotać należycie.

— No i cóż byli w Krakowie? — zapytałem.

— Byli, a gdy wrócili, to aż radość była słuchać, bo ten pismak wszędzie ich oprowadził. I był z nimi u jakiegoś wielkiego pana, co był w kapeluszu z piórami, przy szabli, a srébro to aż z niego kapało. Szwargotał do nich po niemiecku; nasze deputaki cosić tam rozumieli, a resztę im pismak wyłożył. I co tu wiele gadać! Pan ten obiecał im, że przyjedzie na miejsce, obejrzy sam wszystko, ale gdy przyjedzie do Tarnowa, trzeba mu dać 200 reńskich, a i wozy mają tam czekać na niego. Cóż było robić? Gromada się złożyła. Co bogatszy dał więcéj, a uboższy mniéj. I w przeszły czwartek pojechały dwa wozy z pismakiem po tego pana. Mnie wysłali także. A do tego trzeba panu wiedzieć, że pismak niecnota jeszcze kazał dać gromadzie 20 reńskich, aby nakupić na przyjęcie tego pana araku, cukru, herbaty, szynki i kto wié u licha czego tam więcéj! Gdyśmy tedy przyjechali do Tarnowa, pismak kazał jechać na koléj żelazną i czekać, a sam gdzieś został w mieście. Czekamy i czekamy, a tu naraz jak zadzwonią, jak świśnie — patrzymy, toczy się maszyna i kurzy jakby w jakim browarze. Stanęła i wnet wysiadają różni panowie. Nam ledwie oczy nie wylazły, patrzymy — czy ten w kapeluszu nie wysiada, ale takiego zupełnie nie było.

A co jeszcze gorzéj naszego pismaka jak nie ma tak nie ma.

Staliśmy z wozami do wieczora, potém wróciliśmy do domu.

Pisarz niecnota oszukał gromadę. Pisano potém za nim w różne strony i przecie udało się policyi schwytać oszusta i osadzić w kozie. Pokazało się potém, że on był w zmowie z pewnym strzelcem od jednego pana, to téż i strzelec dostał się do kozy. Taki zysk miała nasza gromada. Teraz widzi pan dobry, ci tu gospodarze chcą teraz innego pisarza i na nowo robią składkę, a ja nie chcę przystać.

— Słusznie macie! — powiedziałem patrząc na kłótników i mówiłem daléj: — Jeżeli się chcecie dowiedzieć lepiéj o pokątnych pisarzach, to wam opowiem prawdziwe zdarzenie. I tak jąłem opowiadać:

— Pewna gromada nadwiślańska spiérała się z dworem o jakieś pole. Wytoczyła więc dziedzicowi proces, który atoli przegrała w instancyi piérwszéj. Uważając, że wyrok ten był niesprawiedliwy, chciała założyć rekurs. W tém zjawił się jakiś surdutowy pijanica, a dowiedziawszy się w karczmie, że gmina proces z dworem przegrała, podmówił gospodarzy, żeby sprawę tę odnowili na i nowo wnieśli skargę, ponieważ termin do rekursu już upłynął.

Zaręczał, że sprawę wygrać muszą, bo mają słusznie, a choćby i niesłusznie mieli, to i tak wygrać mogą, jeżeli się tylko dobrze sprawą pokieruje. Na poparcie swego twierdzenia przytoczył przykład, że gdzieś tam pod Krakowem gromadzie nie tylko łąkę, ale nawet spory kawał lasu od dziedzica wyprocesował. A że ów przybłęda tak pięknie na ich przemawiał stronę, nie namyślali się ani chwilki i powierzyli mu ułożenie skargi.

Kazał więc złożyć 20 złr. na stemple, twierdząc, że tu idzie o rzecz wielkiéj wagi, to téż i stemple muszą być drogie, a przy tém okazał się tak wspaniałomyślnym i bezinteresownym, że oświadczył, iż za swą pracę dopiéro wtedy zapłaty zażąda, gdy proces wygra. Tém oświadczeniem pozyskał, jak to mówią, na piękne serca gospodarzy.

Zabrał się tedy do roboty, a tymczasem gromada 20 zł. na stemple składała. Nazajutrz oświadcza, że pisanie już gotowe i wzywa, aby dwóch deputowanych udało się z nim do miasteczka powiatowego, gdzie stemple kupią i skargę do sądu podadzą. Jak sobie życzył, tak się stało. Przybywszy do miasta, udali się do trafiki po stemple. Deputaki zostali w sieni a pismak wziąwszy od nich 20 zł. wszedł do trafiki. Wyszedłszy po chwili, oddał im pisanie, okazując, że ostemplowane, i kazał do sądu zanieść. Ale jakże się zdziwili i zawstydzili nasi skarżyciele, gdy im urzędnik odbiérający podanie, oświadczył, że to jest pisanina zupełnie bez sensu, a znaczki na niéj nie stemple tylko pocztowe marki.

Zmartwieni do żywego, opowiedziawszy urzędnikowi, jak się stało, szukali do wieczora po mieście owego pismaka, ale oszust nie w ciemię bity, przepadł bez wieści.

Nazajutrz po tym wypadku byłem w sądzie, a ów urzędnik opowiedział mi ten figel i to podanie pokazał, co bardzo przykre na mnie zrobiło wrażenie, boć to przecie każdego uczciwego człeka serce boli, gdy widzi lub słyszy, że ludek nasz jeszcze tak ciemny, i że go na każdym kroku źli ludzie oszukują. Chociaż Bogiem a prawdą gospodarze téj gminy sami sobie winni, że dotąd nie mają między sobą szczęśliwéj duszy, któraby im, jeżeli już nie napisać, to przynajmniéj przeczytać potrafiła jakie pismo. Ale cóż, o szkole ani im tam wspominaj, a Bóg świadkiem, żeby ją mieć mogli, bo to gmina i wielka i z łaski Boga nienajuboższa.

Otóż opowiadam wam to zdarzenie dla tego, abyście się z cudzych błędów nauczyli roztropności, bo ze swoich się uczyć to za późna i zwykle za droga nauka.

Jeżeli zaś koniecznie wypadnie wam prowadzić proces, to udajcież się do miejscowego ks. plebana lub p. nauczyciela i poproście, aby wam wskazali adwokata z profesyi lub notaryjusza, gdyż tylko ci panowie potrafią prowadzić proces, bo się tego uczyli. Znajomość prawa wymaga bardzo długiéj nauki, a powierzając proces człowiekowi, który go nie zna, to tyle znaczy, jakbyś z butami poszedł do bednarza, aby ci je podszył.

Pismakom tym, co to w szynkach mają swoje kancelaryje, lub po wsiach chodzą i szukają procesów, nie powierzajcie swych interesów, gdyż ludzie ci nic a nic nie rozumieją, a myślą tylko o sobie.

Takie pismaki wyłygają od was grosz ciężko zapracowany i łudzą was nadzieją, na czém się kończy cała sprawa.

W nadziei, że będziecie tak łaskawi przyjąć odemnie szczére rady, trzymajcie się przysłowia:

L e p s z a s ł o m i a n a z g o d a, n i ż z ł o t y p r o c e s.

Gospodarze w karczmie słuchali méj mowy jak kazania, a gdym skończył, pokiwali głową i powiedzieli:

— A jużciż prawda, że są tacy nieludzcy oszuści, którym wierzyć nie trzeba!...

Chmury pomknęły daléj, dészcz przestał padać, siadłem więc na wózek i pojechałem daléj.

Z powrotem moim dowiedziałem się na moją pociechę, że włościanie z téj gromady odstąpili od procesu z dworem i nie ubiegali się już o pisarza.

Daj Boże, żeby tak było wszędzie!

Konstanty Steczkowski.

Pogadanki pouczające.

Znaczenie człowieka i rodziny w państwie.

Z poprzedniéj gawędy naszéj wiécie już, moi mili, co to jest państwo. Przypominacie sobie, że to jest wielka gmina złożona z takich samych części, jak i ta, w któréj bezpośrednio żyjecie; że w niéj terytoryjum, ludność i władza świecka i duchowa, stanowią ten organizm państwowy. Teraz zaś, moi drodzy, chcę z wami pomówić o drugiéj części czyli o ludności. Ludnością, wiécie, nazywa się większa lub mniejsza gromada ludzi, która jednak choćby największa, składa się z pojedynczych ludzi różnéj płci i wieku. Każdy c z ł o w i e k otrzymuje życie od swoich rodziców, którzy go dziecięciem wychowują i kształcą, i którzy z niém lub większą liczbą dzieci składają r o d z i n ę.

Każdy człowiek ma swoje potrzeby, sprawy, a zarazem różne interesa, odnoszące się czy to do jego osoby, czy do zajęcia i stanu, jakiemu się oddaje. Tak jedni pracują w roli, drudzy w przemyśle, ci w sztuce, a inni jeszcze w nauce, słowem, każdy ma pewne zajęcie, które, gdy sumiennie wykonywuje zapewnia sobie utrzymanie i przyczynia się do ogólnego dobrobytu wszystkich. Dla tego téż bardzo słusznie nie lubimy ludzi, którzy to są, jak mówimy, bez zajęcia, a nie starają się o pracę. Tacy są jedynie pasożytami, objadają ogół społeczeństwa, nic mu w zamian nie przynosząc. Ponieważ tedy każdy człowiek ma pewne potrzeby tak cielesne, jak duchowe, przeto każdy winien się starać, aby pracą własną je zaspokoić. To też chwała Bogu, ogólnie biorąc, tak jest, a że pojedyncze osoby nie pracują czasem, nie można mówić, że wszyscy uchylają się od pracy. Każdy pracować musi, aby za-

spokoił cel życia. Celem tym cóż tedy być może? Oto, czy to człowiek pracuje nad uprawą ziemi, czy w przemyśle lub nauce, wszystko to zmierza przedewszystkiem do tego, aby pracował i utrzymywał swoje życie, własne istnienie. Zyskiem swojéj pracy, jakąkolwiek ona będzie, usiłuje on utrzymać swoją osobę, i to jest piérwszém jego zadaniem w życiu.

Ale ponieważ człowiek składa się z duszy i ciała, i ponieważ potrzeby jego są duchowe i cielesne, czyli odnoszące się do jego strony duchowéj i cielesnéj, przeto i czynności jego są dwojakie. Co się tyczy strony cielesnéj, to tutaj przedewszystkiem człowiek potrzebuje zabezpieczenia i ochronienia swego ciała od zewnętrznych wpływów natury, a zarazem zaspokojenia jego potrzeb ciała, a więc pokarm, odzież, mieszkanie, potrzebne są mu koniecznie. Wiécie o tém, moi drodzy, jak to jest potrzebném dla zdrowia, aby każdy gospodarz miał porządny domek, aby mu nie zaciekało, lub nie wiało, bo to wszystko sprowadza choroby ciała; wiécie jak każdy człowiek stara się o porządną suknię, obówie, jak każdy rad zjeść porządnie i zdrowo, a wszystko to służy do utrzymania ciała. Przytém człowiek rad widzieć siebie, że tak powiem, po za sobą, w swoich dzieciach; ztąd rodzi się chęć utrzymania swego potomstwa owocami swéj pracy, a więc stara się tyle zarobić, by wyżywić siebie i rodzinę, o któréj będzie późniéj. Co się zaś tyczy strony duchowéj człowieka, to tutaj tak samo ma on swoje potrzeby, które pragnie zaspokoić. Niemi są mianowicie chęć rozwinięcia swoich zdolności umysłowych, nabycia wiedzy i różnych a różnych wiadomości. Ztąd to u każdego człowieka jest ta wrodzona ciekawość do wszystkiego: co się téż to dzieje w świecie, co w kraju własnym, co w powiecie i gminie; co może być pożyteczném dla ducha, dla rozwoju naszych zdolności i t. d. Uczymy się przeto z książek, nabiéramy wiadomości z różnych pism i gazet; przez obcowanie z ludźmi staramy się wykształcić lub czegoś się od nich dowiedzieć... Tym sposobem, jak widzicie, moi drodzy, człowiek stósownie do dwóch stron swéj istoty, stara się téż w obu rozwijać; ztąd więc i działalność jego jest podwójną. Wskutek téj swojéj żądzy do utrzymania swéj istoty, stara się działać i gdy się rozwinie, chce być samodzielnym, chce sam coś zrobić własnego. Kto słabszy, to myśli tylko o sobie, kto potężniejszy duchem, to myśli i o drugich, o bliźnich swoich, aby im coś podać, w czémś ulżyć, coś dla nich zrobić i chętnie im dopomagać. Ztąd wynika potrzeba kształcenia się, nabiérania nauki, aby robić dla siebie i drugich; ztąd to owe sławne i znakomite wynalazki: druku, kolei żelaznych, młynów parowych, różnych maszyn, których dziś wszyscy używamy, a które przecież pojedynczy ludzie wynaleźli rozumem swoim. Dla tego téż wartość każdego człowieka jest ogromna, bo każdy może coś zrobić samodzielnego swoim przemysłem dla dobra drugich, dla tego ludzie szanować się powinni, bo jedni drugich wspiérają, jedni dla drugich pracują. A wedle zasad religii naszéj świętéj, wszyscy jesteśmy równi, i dla tegośmy się zarówno szanować i kochać powinni. I ze względów spółecznych, państwowych, dla téj ogromnéj korzyści, jaką może przynieść każdy człowiek, wartość jego jest ogromną; znaczenie jego obchodzi całe państwo. Dla tego téż widzicie, moi drodzy, że państwo stawia wszystkich **jako ludzi** na równi wobec prawa; każdemu zostawia wolność do wszystkich urzędów i zaszczytów, byle tylko miał odpowiednie wykształcenie, dla wszystkich zostawia otworem szkoły i wyższe zakłady naukowe jak akademije czyli uniwersytety; słowem każdego **człowieka** jako takiego w obec siebie równo uważa, bo wié, że każdy może mu wiele wyświadczyć; każdym się więc zarówno opiekuje i o każdym pamięta, i tylko **osobista** zasługa podnosi tego lub owego wyżéj; stawia jednego nad drugim jego własną pracą, i o tyle téż podnosi jego osobiste znaczenie w państwie. Słowem jak to mówią: im kto więcéj wart, tém go wyżéj cenią, czyli im kto więcéj robi, im mędrszy i rozumniejszy, tém téż ma i większe znaczenie **osobiste**, ale jako człowiek jest przez państwo na równi uważany z każdym.

O znaczeniu rodziny, pogadamy przyszłym razem.

Zbigniew.

Co słychać w świecie?

D. 26 lutego o godz. 12 w nocy miało się skończyć zawieszenie broni we Francyi. Wszyscy wyczekują pokoju, dla tego téż uczeni ludzie tak o téj sprawie piszą: Ogólne jest przekonanie, że po zawieszeniu broni nastąpi pokój. Jeżeli strony walczące szczérze doń przystąpią, pokój ten i zmiany, jakie w skutek niego wynikną, mogą być trwałe; w przeciwnym razie będą tylko chwilowemi; staną się owszem przyczyną nowych zaburzeń w niedalekiéj przyszłości. Ludzkość znużona ciągłemi zmianami, błogosławiłaby tym, którzyby pracowali nad ustaleniem europejskiego pokoju.

Ku niebu wznoszą się modły, aby Bóg natchnął do zawarcia pokoju przystępujące strony — duchem prawa i sprawiedliwości. I w czémże jest przyczyna nieszczęść, jakie teraz trapią ludzkość? Oto w rewolucyi francuzkiéj, która europejską nazwana być może, albowiem cała Europa czuje jéj skutki. W niéj źródło tych klęsk, bo ona piérwsza powstała przeciw prawu bożemu, które przestało odtąd być kierownikiem i przewodnikiem w polityce. Duch pychy, zdobyczy i podbojów opanował Napoleona I. césarza francuzkiego. Cała Europa ugięła przed nim czoło, ale tego upokorzenia nie mogła mu zapomnieć i wciąż myślała o zemście. Zemsta i bojaźń władały Europą, gdy znowu zasiadł na tronie francuzkim Napoleon III. Pod wpływem tych dwóch namiętności Europa ciągle popełniała błędy.

Kiedy siadł na tron Napoleon III. powstała sprawa o granice rzéki Renu, który jest między Francyją a Niemcami. Sprawa ta obudziła bojaźń w Niemczech, a żądze bodboju we Francyi. Napoleon mógł zrazu i powinien był przytłumić to wzburzenie, ale on o tém nie myślał. On marzył wtenczas o utworzeniu jedności Włoch, a nie o szczęściu Francyi. On chciał państwo swoje zmusić do miłości dla Włoch i pozwalał na wzrost nienawiści ku Niemcom. Tak to błądzą nieraz i wielcy ludzie, gdy sobie za nadto ufają, a przychodzi nieraz dla nich niespodziéwany upadek, jak właś-

nie spotkał Napoleona. Jednoczyć i łączyć — zadanie wielkich ludzi, ale nie rozdwajać i znienawidzać. Francyja nie wglądała w politykę Napoleona, żądała tylko od niego rozstrzygnięcia sprawy o granice Renu. Z tego do tego, przyszło do wojny tak okropnéj, jakiéj nie podadzą dzieje całéj ludzkości. Patrzymy więc dzisiaj na skutki polityki Napoleona. Dziwić się nie możemy Niemcom, że się zabezpieczyć chciały od wszelkiéj ze strony Erancyi napadów. Ale w obecnéj chwili Niemcy dostatecznie i w najokropniejszy sposób pomściły swe upokorzenie, jakiego za Napoleona I. doznały. Ale chcieć zniszczyć istność Francyi lub dotknąć jéj honor, byłoby ze strony Niemiec prawdziwém szaleństwem. Mamy nadzieję, że zwycięzcy odstąpią od ambitnych pretensyj, a Francyja zapomni raz na zawsze o dawnych roszczeniach swoich. Pod tym tylko warunkiem pokój mógłby być trwałym; tym tylko środkiem ludzkość otrzyma pokój, a obie strony jéj wdzięczność sobie zdobędą. Inaczéj wrzałaby znowu krwawa walka, któraby się mogła skończyć zniszczeniem Francyi, upadkiem Niemiec, a dla Europy stałaby się zapowiedzią strasznych nieszczęść.

Jeźli więc strony walczące prągną trwałego pokoju, obowiązkiem ich jest się starać, aby duch prawa i sprawiedliwości zapanował w pokojowéj ugodzie wersalskiéj nad namiętnością pychy i żądzą podbojów. Wszystko zależy od warunków ugody.

Donoszą z Berlina d. 27 lutego, że d. 26 między 5 a 6 godz. po południu podpisano wstępną ugodę pokojową. Alzacyja i Lotaryngija z Metzem mają być odstąpione. Belfort, niedawno zdobyta twierdza, pozostanie francuzkim. Koszta wynagrodzenia wojennego mają wynosic 5 milijardów franków, które mają być spłacone w 3 latach. W twierdzach i obwodach pozostanie przez ten czas załoga niemiecka. Przedłużenie zawieszenia broni ma trwać do 6 marca, a wojska niemieckie wkroczą niebawem do Paryża, gdzie już prędzéj teraz można dostać wszelakiéj żywności i po znacznie znižonéj cenie, choć wszystko jeszcze dosyć drogie.

Dowóz żywności bardzo szybki. Brak tylko wielki węgla, dla tego nie oświécają jeszcze miasta gazem. Ludzie bardzo słabują; dzieci wiele umiera. Wczas wieczór wszystko idzie na spoczynek; dawnego gwaru nocnego nie ma. Szkoły już zaczynają otwiérać. Bywają sztuki teatralne i odczyty. Słychać głośno, że Prusacy żądają zniesienia fortyfikacyj paryskich. W Paryżu jest nawet silna partyja, która życzy sobie tego.

Césarz Napoleon, którego puszczą wnet z niewoli, musiał się zobowiązać nie wstępować na ziemię francuzką, dopóki nie otrzyma pozwolenia od zgromadzenia narodowego. Krążą pogłoski, że Napoleon będzie mieszkał w Wiedniu, gdzie ma sobie nabyć pałac.

Donoszą z Wersalu d. 25 lutego, że césarz niemiecki Wilhelm nie oznaczy czasu, kiedy przybędzie do pałacu césarskiego w Paryżu. Chce tam zabawić tylko 24 godz., by podpisać ugodę pokojową. Jeżeli zaś Francuzi nie przyjmą warunków podanych, mają się od 26 w nocy zacząc na nowo nieprzyjazne stosunki. Bateryje paryzkich fortów zwrócone na miasto. Dowódzcy wojsk dostali nakaz, by być w pogotowiu do wymarszu. Dziwna rzecz, jak się stanie?

Z Wiédnia piszą, że Niemcy nie chcą teraz słyszeć nic o ugodzie z Polakami. Rada państwa ma być rozwiązaną.

Wszystkie państwa uznały teraźniejszy rząd francuzki z wyjątkiem Grecyi.

ROZMAITOŚCI.

Powietrze jest wtedy wilgotne, gdy sól topnieje, kamienie mokrzeją, gdy skrzypce same się odstrajają, co téż zapowiada niepogodę. Gdy w lecie z rana rosa jest obfita, spodziéwać się należy pięknéj pogody; przeciwnie gdy rosa bardzo mała albo nie ma żadnéj, dészcz pewny. Gdy dym z kominów prosto idzie do góry, nastąpi pogoda, przeciwnie słota. Gdy dészcz pada bardzo rano, szczególniéj gdy nagle pada, prędka nastąpi odmiana. Przeciwnie, gdy przy pięknym ranku, jeszcze przed południem zacznie dészcz padać a jeszcze bardzo wolny, długą wróży niepogodę.

Przeźroczystość wielka w powietrzu, przez którą odległe przedmioty można dobrze rozeznać gołém okiem; gdy lasy wydają się czarne a w nocy gwiazdy, nawet mniejsze, są widzialne, zapowiadają słotę. Przeciwnie, gdy odległe przedmioty jak góry, lasy, zdają się być mgłą powleczone, spodziéwać się należy pogody.

Gdy słońce lub księżyc wcześniéj wschodzi lub zachodzi, spodziéwiać się słoty. W czasie słoty, gdy się wypogadza od zachodu, nastąpi pogoda. W czasie pogody, gdy słońce zachodzi za chmurę, słota będzie niezawodna. Gdy księżyc mgłą powleczony, wróży niepogodę.

Jeżlibyś zapomniał w lutym, to przynajmniéj na początku marca trzeba zacząć dawać dziéciom na odnawiające się zwykle w tym czasie szkrofuły lub glisty odwar z ziół następujących. Bierze się ich dwie łyżki stołowe, naléwa się trzema kwaterkami wody i gotuje się tak, aby się trochę wygotowały; poczém chłodzi się i letnio po filiżance daje się rano, w południe i wieczór, a to przez miesiąc cały. Odwar ten soki poprawia, a chorobę osłabia niezawodnie.

Rpc. Radic. Taraxaci — Cichereae apa. Unc. dua. Stipit. dulcamar. Unc. 1. m. d. et s. — Ziółka dla dzieci.

Tego roku porobiły rzéki wielkie szkody. W Wiédniu wylał Dunaj i zatopił całe przedmieścia. U nas w Galicyi wystąpiła Wisła pod Niepołomicami i zalała kilka wiosek. Koło Mielca wylała znowu Wisłoka i zatopiła piętnaście wiosek. Użyto wszelkich sposobów do ratowania nieszczęśliwych i usunięcia głodu. Wieczór 24 z. m. opadła Wisłoka na jednę stopę. Do niektórych miejsc dopłynąć nie można, w innych narażać się trzeba na niebezpieczeństwo. A przyczyną tego są lody na Wisle, które dotąd nie odpłynęły.

I w Czechach i na Węgrzech woda wyrządziła wielkie szkody. Jeden kłopot za drugim!

☞ ***Uprasza się Szan. PP. Prenumeratorów o nadesłanie zaległéj przedpłaty.***

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jucan.

W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.